

Zofia Pełkova

Poznań

## Syberyjskie zesłanie

### Cz. I

Mieszkaliśmy w Chołojowie, w pow. radziechowskim, woj. tarnopolskim, w nowowytbudowanym przez nas domu, naprzeciw szkoły powszechnej, w której pracowałam jako nauczycielka. Moim dyrektorem był pan Michał Janusz. Jako oficer rezerwy, powołany został 28 sierpnia 1939 r. do wojska, i od tego czasu słuch o nim zaginął. Razem z jego żoną wywieziono mnie z dziećmi do Kazachstanu. Mieszkaliśmy kolejno w Fiodorówce, Bajgunuzie i w Pawłodarze. Pani Januszowa zmarła w pawłodarskim domu starców.

Mój mąż, Stanisław Pełka, był dyrektorem męskiej szkoły powszechnej w Radziechowie. W dniach poprzedzających wybuch II wojny światowej został również zmobilizowany. Otrzymaliśmy od niego kilka listów z obozu w Starobielsku. Na liście katyńskiej wymieniony jest pod numerem 2632 w grupie jeńców ze Starobielska.

Przyszli po nas o godz. 12-tej w nocy 13 kwietnia 1940 r. Zbudzili łomotem do drzwi, w które walili kolbami. Zerwałam się przerażona, otworzyłam. Stało tam dwóch drabów, reszta z tyłu. Twarze bandytów, nie z Chołojowa. Był z nimi znajomy, sprzedawca ze sklepu spożywczego, emerytowany nauczyciel – Ukrainiec. Często tam kupowałam. Znał mnie i powiedział: *Niech się pani zbiera, musicie jechać.*

Zbudziłam dzieci, poleciłam im umyć się i ubrać, najmłodszą ubrałam sama. Pościel spakowałam do sienników, ale kufru nie pozwolili mi zabrać, bo *za duży i nie zmieści się.* Najlepsze rzeczy zostały właśnie w tym kufrze. Miałam jeszcze jeden mniejszy, mąż wędrował z nim do szkoły jako dziecko. Spakowałam jakieś najpotrzebniejsze rzeczy, a właściwie co w rękę wpadło. Wzięłam też trochę naczyń. Oglądali wszystko co zabieramy.

Duży kufer osznurowałam i napisałam na nim, że mają oddać go Mietkowi, który był w Pawłowie. Włożyłam tam bieliznę dla niego, ubranie i dodałam, że to jest sierota, nie ma tam niczego, i nie ma rodziny. Po naszym wyjeździe Mietek wszędzie się zgłaszał, ale mu powiedziano, że niczego nie zostawiłyśmy. W rabunku nie przepuścili nawet temu biednemu dziecku.

Załadowali nas na furę, a przy nas panią Januszową. Gdy wyjeżdżałyśmy z domu, był ranek. Na drodze stali znajomi ludzie. Kobiety płakały, niektóre podawały jeszcze coś do jedzenia na drogę dla dzieci. Patrząc na te znajome kobiety z "Koła Gospodyń" mówiłam: *Ja tu wrócę!*

Nikt nam nie powiedział, że jest to karne przesiedlenie, że jesteśmy wywłaszczone, skazane. Przeciwnie – mówiono: *Jediesz do muza!* Dzieci były bardzo przejęte, wielokrotnie odwracały się w stronę domu. Najbardziej starsza, Danusia, która powtarzała: *Ja to muszę zapamiętać!*

Na bocznym torze dworca w Radziechowie stał już szereg wagonów to-warowych. Zwożono tu ludzi z całego powiatu. Do każdego wagonu pakowano po 40 osób: kobiety, starców, dzieci i młodych chłopców. Mężczyzn w sile wieku nie było. Wagony miały po dwu stronach specjalnie zrobione półki, zwane "narami". Każdy zesłaniec miał na tej pryczy swoje miejsce, a pod nią składał swój dobytek. Obok nas leżała na półce kobieta zaledwie kilka dni po porodzie, z niemowlęciem i dwójką starszych dzieci. Była to pani Borbiukowa.

Tym transportem wieziono przeważnie żony oficerów i żony policjantów wraz z ich rodzinami, a także trochę inteligencji żydowskiej. Na stacji w Radziechowie transport nasz stał przez całą sobotę i niedzielę do południa. W tym czasie zdażyła się o nas odwiedzić rodzina w Witkowie, i po interwencji (prawdopodobnie matki męża) przyjechał konno na oklep szwagier z dwoma workami. Były w nich dwie szynki wieprzowe i chleb.

Po niedzielnym nabożeństwie w radziechowskim kościele wszyscy ludzie przyszli na dworzec. Pociąg ruszył w momencie, gdy dzwony uderzyły na Anioł Pański. Na dworcu rozległ się głuchy jęk. Obcy ludzie żegnali nas z przejęciem i płaczem. Bo też żegnali tych, z których większość nigdy już nie miała zobaczyć rodzinnej ziemi.

Wieziono nas w kierunku Łucka. Tam zobaczyliśmy na dworcu drugi transport, a ja przez malutkie okienko dostrzegłam koleżankę, z którą zdawałam maturę. Pochodziła ze Zbaraża, nazwisko panieńskie Zachariasiewicz. Była żoną wicestarosty w Radziechowie, (którego nazwiska już nie pamiętam). Chwilę porozmawiałyśmy, jej transport ruszył, a niedługo i nasz pojechał w tym samym kierunku.

Wagony nasze były zadrutowane i zaplombowane. Konwojowali nas uzbrojeni strażnicy. Z jechaniem było na razie nieźle, bo każdy zabrał coś z domu na drogę. Codziennie wypuszczano z wagonu jedną osobę z dwoma wiadrami – po zupę dla 40 osób, i po wodę. Mało jej było do picia, a o myciu się przez cały czas nie było mowy. Nie kąpane przez miesiąc jechało też niemowlę. Matka darła jakieś szmaty, wycierała nimi dziecko i wyrzucała, Dziecko zmarło po miesiącu pobytu w Kazachstanie.

W pewnym momencie pociąg zatrzymał się na jakiejś skarpie, poniżej której płynęła rzeczka. Jaka – nie wiedzieliśmy, bo tylko według słońca orientowaliśmy się w jakim kierunku nas wiozą. Stara kobieta wysunęła przez okienko rękę z butelką zawieszona na sznurku i usiłowała nabrać wody. Podszedł jakiś mężczyzna w cywilu, porwał butelkę i stłukł ją, dodając: *A podochnij ty stara suko, a nie wodu brać!*

Odrębną sprawą była osławiona "parasza". Towarzyszył nam prymityw połączony z bestialstwem.

30 kwietnia przyjechaliśmy do Pawłodaru nad Irtyszem, miasta wojewódzkiego. Była to wówczas końcowa stacja kolei południowego odcinka, około 300 km od Omska. Przywieziono nas na pustą o tej porze plac targowy. Na ziemi, bez dachu nad głową, przesiedzieliśmy na nim dwie noce. Tubylcy świętowali 1-go maja, a dzieci nasze trzęsły się z chłodu, bo noce o tej porze roku są tam jeszcze zimne. Nikt nie interesował się nami. Dopiero 2 maja zaczęły podjeżdżać ciężarówki i rozwozić ludzi w step. Nas powieziono 100 km do wsi Kantorka w rejonie maksymgorskim (obecnie kaczyrskim). Wysadzono na placu we wsi, a samochody odjechały.

Trzeba było szukać dachu nad głową, każdy na własną rękę. Kto nas weźmie? Chatki malutkie, bez podłóg. W jednej chacie zgodzili się przenocować nas na ziemi, ale trzeba było dać za to męską koszulę i prześcieradło. Za nami przyszła pani Januszowa, ona także musiała coś dać gospodarzom. Byli to młodzi ludzie, kobieta spodziewała się dziecka, jej mąż pracował w kolchozie. Powiedzieli nam, że w sklepie można kupić łóżko. Było to łóżko metalowe, pogięte i zardzewiałe – ale kupiłam. Pieniądze na razie miałam, bo do pociągu w Radziechowie inspektor przyniósł mi 50 rubli, a przy wyjeździe z Chołojowa p. Kałucki też dał mi 50 rubli za wyprawkę. Ale za pieniądze nikt nie chciał tu niczego sprzedawać. Chcieli tylko “mieniat” za odzież.

Kończyła się żywność, groził nam głód. W kolchozie nie chcieli nas przyjąć do pracy, bo do spółdzielni rolniczej trzeba było wnieść udział.

Razem z nami znalazła się w tej wsi pani Wajsowa, nauczycielka z bliźniaczkami przy piersi, dwuletnim synkiem, chorą matką i siostrą męża. Jej ojca, tak jak mojego, wywieziono do Archangielska. Napisaliśmy do NKWD prośbę o przeniesienie naszych ojców do nas. Wyrazili zgodę. Ojciec mój martwił się o nas, pisał do Chołojowa i dowiedział się, że nas wywieziono. Nie zdążył jednak do Kantorki przyjechać. Zaczął puchnąć z głodu i we wrześniu 1940 r. zmarł w okręgu archangielskim. Pochowano go gdzieś w lesie.

W Kantorce zaczęło się wszystkim naszym ludziom źle wieść. Polacy zaczęli więc pisać do NKWD podania o przeniesienie do miejscowości, gdzie mogliby znaleźć pracę. Pod koniec czerwca przyjechał jakiś spryciarz z kilkoma ciężarówkami i zaczął ludzi przewozić. Nas przewiózł do “Maszyno-Traktornoj Stancii (MTS)” w Fiodorówce. Maszyny przebywały w tym czasie w polu, a na stepie stała pusta szopa. Zapełniła się zaraz wysiedlonymi i płaczącymi dziećmi. Jedynie płacić za to lokum nie trzeba było. Jeżeli ktoś miał coś do ugotowania, to stawiał na stepie dwie cegły i gotował posiłek na dworze. Ale chleba nie było gdzie upiec.

Gdy budowaliśmy nasz dom w Chołojowie, widziałam jak zdun stawiał piec. Teraz powiedziałam, że zbuduję piec tylko niech mi ludzie naznoszą kamieni i cegieł. Wszyscy, którzy mieli na to siły, rozbiegli się wokół i przynieśli co komu udało się znaleźć. Nakopali też gliny, wykopali sporą jamę, aby piec znalazł się w ziemi i nie stygł za szybko. Od strony szopy zrobiono schodki.

Zabrałam się zaraz do roboty. Ktoś znalazł jakąś rurę, inny blachę na założenie otworu i piec stanął! Gdy go skończyłam, leżał już stos nazbieranych w stepie badyli, którymi tam się paliło. Zapaliłam w piecu. Ktoś przygotował już trochę ciasta na próbę. Upiekło się! Cóż to była za radość!

Na drugi dzień ludzie od rana do wieczora piekli chleb. Ja swój piekłam dopiero pod wieczór trzeciego dnia. Każdy, kto już upiekł swój dawał mi chociaż kawałek, mogłam więc czekać w kolejce. Gdy wsadziłam swój chleb do pieca, zrobiła się już noc. Pościeliłam na ziemi worek i czekałam aż się upieczą. W szopie wszyscy już spali. Światła nie było, więc wstawalo się o świcie, a kładło spać o zmierzchu. Po chwili usłyszałam wycie wilków, które zbliżały się. Wyjęłam bochenek, postukałam od spodu – upieczony! Schowałam do worka i pędem pobiegłam do szopy, zamykając za sobą drzwi. Odpoczęłam chwilę, umyłam się po ciemku i – spać!

Do męża pisałam kilka razy, wysłałam też dwa telegramy z zapłaconą odpowiedzią. Dostałam wiadomość, że adresata nie ma. Była z nami pani, której mąż także przebywał w Starobielsku. Dostała od niego list, w którym pisał, iż wiozą ich gdzieś na północ. Udało mu się kogoś uprosić, aby mu ten list wysłał. Inne panie pisały do

NKWD aby ich połączono z mężami. Dostały odpowiedź, że mężowie przebywają na Wyspie Franciszka i wrócą w czerwcu 1941 r. Po tym terminie panie napisały ponownie. Dostały zawiadomienie, że statek z mężami zatonął. Na tym skończyły się wyjaśnienia NKWD...

cdn.

*Maria Ignatowicz Hudymowa*

*Koszalin*

## **Wspomnienia granatowego mundurka**

### **Cz. II**

W formowaniu naszej osobowości dominującą rolę odegrało Harcerstwo. Z harcerstwem byłam związana od najmłodszych lat, a w Seminarium Nauczycielskim w latach 1929-1932 zaczęła się moja działalność.

Społeczna funkcję komendanta hufca ZHP pełnił nauczyciel szkoły średniej – harcmistrz Stanisław Nowakowski. Hufiec podlegał Radzie Hufca, którą stanowili: komendant, jego zastępca i drużynowi poszczególnych drużyn.

Hufiec ZHP stanowiło wówczas w Czortkowie 7 drużyn: 3 ze szkół średnich i 4 drużyny zuchowe. Drużyny dzieliły się na zastępy, którym przewodniczyły zastępowe.

Czortków 1932 r. Rada drużyny ZHP. Od lewej: J. Słojewska, J. Solarska, S. Nowakowski (komendant Hufca), H. Wojciechowska. C. Kruczkowska, M. Ignatowicz (drużynowa), W. Mielnik. NN., NN., NN., prof. Lorenz (opiekunka druž.), L. Jakubowska

Do żeńskiej drużyny w naszym seminarium należało 5 zastępów. Radę Drużyny stanowiły: drużynowa, dwie jej przyboczne i zastępowe.

Funkcję drużynowej mogły pełnić dopiero uczennice IV i V kursu. Byłam drużynową w latach 1930-1932.

Pragnieniem każdej z nas było zdobycie sprawności harcerskich i stopni – do stopnia harcmistrza włącznie. Wymagało to dużego zdyscyplinowania, odpowiedzialności, organizacyjnego wyrobienia, wiadomości o historii i znaczeniu organizacji, nienagannej postawy jako ucznia, dobrych wyników w nauce oraz umiejętności współżycia koleżeńskiego. Uczono nas prawdomówności, obcą nam była zazdrość i zawiść – zobowiązywało do tego prawo harcerskie. Otrzymanie stanowiska drużynowej wymagało ponadto przeszkolenia na kursach i obozach oraz zdobycia wielu sprawności.

Organizowano nam liczne wycieczki, związane z historią kraju i regionem. M. in. zwiedzaliśmy Germakówkę, Skalał, Zaleszczyki, Skalałę i Czerwonogród z pięknym wodospadem rzeki Dzuryn, stalaktyty i stalagmity w gipsowych grotach Krzywca i Bilcza, prześliczny pałac i ruiny zamku w Wysuczce, piękne jary Dniestru i Seretu.

Zdobycie stopnia harcmistrza i podharcmistrza wymagało długoletniej aktywnej działalności. Należało przede wszystkim wykazać się dużymi zdolnościami organizacyjnymi i odpowiedzialnością, poprzez organizowanie i samodzielne prowadzenie obozów.

Nie była to sprawa ani prosta, ani łatwa. Należało najpierw znaleźć odpowiednie miejsce na obóz i zdobyć niemałe fundusze. To ostatnie wymagało wytężonej całorocznej pracy. Fundusze zdobywano poprzez organizo-

wanie różnych harcerskich imprez. Otrzymywano też dary w naturze od sympatyków zrzeszonych w Kołach Przyjaciół Harcerstwa. Niedobory pokrywali uczestnicy obozu. Młodzież mniej zasobna korzystała z pobytu na obozie nieodpłatnie.

Organizatorzy sami musieli przywieźć koce, namioty i sprzęt kuchenny. Nikt nie ustawiał harcerzom prycz czy łóżek, nie było kucharek ani pomocy kuchennych. Wszystko należało wykonać samodzielnie. Zadbać nie tylko o dobre warunki pobytu dla uczestników i dobre ich wyżywienie, ale jednocześnie prowadzić przewidziane programem zajęcia.

Na terenie obozu przestrzegany musiał być porządek, stałe miejsce do porannych i wieczornych apeli, prawidłowo okopane namioty, odpowiednie miejsce dla kuchni i spożywania posiłków. Codziennie wciągało się na maszt flagę państwową, a nocą strzegły obozu wystawione warty.

Z radością wykonywałyśmy nawet najcięższe prace. Przy pomocy igły, pędzla, pióra, piły i siekiery – zdobywałyśmy sprawności, a nasze “kucharki” świetnie gotowały. Smakował nawet budyń na przypalonym mleku.

Nocne alarmy i podchody były zawsze pełne emocji. Rano budził nas śpiew ptaków i błękitne niebo, a żegnała wieczorna cisza albo szum drzew i upojny zapach kwiatów z pobliskich łąk.

Dumne byłyśmy z harcerskiego mundurka, najpiękniejszego dla nas stroju i z licznych sprawności, “uwiecznionych” naszywkami na rękawie.

Z wycieczek i obozów harcerskich pozostało nam do dziś wiele wspomnień. Niemal każdej niedzieli wszystkie czortkowskie drużyny wspólnie wyruszały “w szeroki świat”. W marszu wszyscy dziarsko śpiewaliśmy, a potem na polanie tańczyliśmy przy własnej “kapeli”, złożonej z gitar i mandolin. Wycieczki kończyły się tradycyjnym ogniskiem, przy którym gawędzono i muzykowano. Gdy zapadał zmrok i ognisko dogasało, złączeni ze sobą dłońmi śpiewaliśmy cichutko harcerską modlitwę:

*Idzie noc, słońce już zeszło z gór zeszło z mórz...*

Ale zdarzały się także podczas takich wypraw nieprzewidziane kłopoty. Na przykład na jednej z wycieczek, tuż przed wymarszem do domu, stwierdziliśmy brak trzech zuchów. Szukaliśmy ich przerażeni. Nadchodził wieczór, opóźniała się godzina powrotu. My – drużynowi zdecydowaliśmy, że dziesięć osób pozostanie i będzie nadal szukało zaginionych, a reszta powróci do domów zachowując na razie wydarzenie w tajemnicy.

Wybrana dziesiątka rozpoczęła poszukiwania. Chodziliśmy leśnymi drózkami i nawoływaliśmy zuchy głośno. Nagle natknęliśmy się na głęboki dół, a w nim trzy przerażone dziewczynki, które ze strachu nie mogły wydobyć z siebie głosu. Gdy niepostrzeżenie oddaliły się z miejsca naszego postoju, wpadły do tej zasadzki zrobionej przez kłusowników na dziki. Szczęśliwie wszystko dobrze się skończyło.

Któregoś lata Dyrekcja szkoły zorganizowała nam wycieczkę na Hel. Po drodze zatrzymaliśmy się w Warszawie. Zrobiła na nas ogromne wrażenie. Na zwiedzanie miasta nie było wiele czasu, ale odwiedziliśmy gmach sejmu. Bardzo przejęte, chodziłyśmy po sali posiedzeń, zajmowałyśmy miejsca w fotelach marszałka i posłów. Byłyśmy z Cesią Kruczkowską tak tym zaaferowane, że nie spostrzegłyśmy kiedy zostałyśmy na sali same. Wyjść

nie mogliśmy, bo wszystkie wyjścia były już zamknięte. Długo wzywałyśmy głośno pomocy. Ogarnął nas strach, że pozostaniemy same w dużym, obcym mieście.

Naszą nieobecność zauważono dopiero przy obiedzie. Zaczęły się poszukiwania. W końcu zostałyśmy „uwolnione” i samochodem policji odstawione na dworzec, gdzie oczekiwali już na nas zdenerwowani wychowawcy.

Morzem widzianym po raz pierwszy w życiu byliśmy oczarowane. Zachwycałyśmy się zwłaszcza wschodem i zachodem słońca. Podziwiałymy rozbudowujący się gdyński port.

Pamiętny był także nasz wyjazd do Zaleszczyk i wystawienie tam „Karpackich Górali” – scenicznego obrazu w wykonaniu żeńskiej i męskiej drużyny harcerskiej. Jako opiekunka, towarzyszyła nam prof. Lorenz. A w Zaleszczykach powitali nas dyrektor tamtejszego Gimnazjum i Rada Hufca ZHP. Cieszyły nas otrzymane pochwały i wyrazy uznania dla występu.

Miejscem naszych koleżeńskich spotkań była także, znana w mieście, „Olszynka” państwa Sawickich. Na dużej polanie, otoczonej drzewami, stawami i bujną roślinnością, odbywały się tu w świąteczne dni festyny. Był to jakby leśny amfiteatr, nocą oświetlony. Grywały tu wojskowa i kolejowa orkiestry, śpiewano, tańczono, organizowano różne występy.

Były to piękne czasy. Od kilku zaledwie lat mieliśmy znowu niepodległość po latach długiej niewoli. A wschodnia granica Polski została – przypomnijmy – ustalona dopiero w 1923 roku.

*Katarzyna Cilińska*

*Nowa Sól*

## **“Żeby pamiętać skąd się wyszło”**

### **I. Etnografia**

W początkach ery słowiańskiej były Ziemie Czerwieńskie, a więc i późniejszy powiat trembowelski, zamieszkałe przez plemiona lechickie, które dopiero w roku 981 – według świadectwa kronikarza ruskiego Nestora – zażojowane przez księcia kijowskiego Włodzimierz Wielkiego, przyjęły z biegiem czasu język, obyczaje i wiarę Rusinów i z narodem tym zupełnie się zasymilowały.

Jednolitość ludności w ten sposób utworzona nie utrzymała się dłużej jak parę wieków. Istotną przyczyną nie wchłonięcia przez Polaków żywiołów etnicznych istniejących na tych terenach, była różnica między panem i chłopem, wynikająca z ówczesnej struktury społecznej. Następstwem tego było, że język polski stał się językiem „pańskim”, a język ruski – „chłopskim”. Pan chodził do kaplicy lub jeździł do kościoła, chłop musiał chodzić do cerkwi. Ponadto chłop ruski w XVI stuleciu (przed zawarciem unii lubelskiej) mógł otrzymać rozwód po zapłaceniu panu

pewnej sumy pieniężnej, podczas gdy chłop polski rozwodzić się nie mógł. Często jednak i chłop polski, i chłop ruski jednakowo byli przez pana krzywdzeni, łączyła ich więc jedna chłopska dola. Dlatego to olbrzymia masa polskich chłopów – kolonistów, przybyłych w te strony z zachodu, została wchłonięta przez żywioł ruski, dlatego liczne polskie nazwiska noszą do dzisiaj ruscy chłopci w tutejszych stronach.

Musiało się zatem w wolnym kraju specjalny nacisk położyć na uświadomienie chłopca polskiego, i chłop polski powinien był otrzymać pewne przywileje, które stałyby się siłą atrakcyjną dla tych mas chłopskich, jakie kiedyś od pnia macierzystego odpadły. Podkreślać też stale należało polskość tych kresów, o czym wyczytać można ze starych, pożółkłych kart.

Wskutek ustawicznych napadów hord tatarsko-tureckich, a później kozackich i szwedzkich najazdów, wyludniały się tu niejednokrotnie całe wsie i miasteczka. Do odbudowania zgliszcz dziedzice sprowadzali z Mazowsza, Wielkopolski i Biłgoraja osadników. W zamian za zaludnienie tutejszych terenów, narażanych na ustawiczne napady dziczy ze wschodu, starostowie królewscy względnie właściciele danej miejscowości uwalniali osadników na pewien okres czasu (20 lat) od wszelkich danin i robocizn pańszczyźnianych, tworząc w ten sposób tzw. **Słobódki**. Niektóre miejscowości zachowały ten tytuł do dziś jako nazwę własną: np. **Słobódka Janowska** , **Słobódka Strusowska**, i in.

Do miasteczka **JANOWA**<sup>1</sup> w pow. trembowelskim, jak i do innych wielu wsi i miast, przybyli osadnicy o różnych nazwiskach. Jan Aleksander Bayger<sup>2</sup> podał w swojej pracy nazwiska osób z całego powiatu. Ja ograniczę się do wymienienia miasteczek i wsi, które znajdowały się w bliższym i dalszym sąsiedztwie Janowa.

**JANÓW:** Czekański, Drezdowski, Kołtuński, Marcinów, Turczyniewicz, Włosek, Grama, Dzurman, Golba, Dzurba.

Od południowej strony Janowa rozciągało się miasteczko Budzanów. Zgodnie ze wskazówkami zegara wymieniam dalsze miejscowości. Np. godz. 18-ta to Budzanów.

**BUDZANÓW:** Kierszko, Laskoń, Gomułkiewicz, Czaban, Flis, Skrybajło, Rasiak, Bil, Berbeć, Kopohryz, Cwihun, Zakorodoniec, Tatarczuk, Borodajko, Suszko, Litwin, Morąg, Bigoraj, Kuczma, Moskalik.

**SŁOBÓDKA JANOWSKA:** Bajrakowski, Gitler, Klonowski, Zadorożny, Szestopal, Kaszteli, Pindera.

**WYBRANÓWKA:** W czasach polskich osadnictwo postępowało w szybkim tempie. Powstały osady mazurskie, takie jak: Łoszniów, Podhajczyki, Wierzbowiec i osady szlacheckie – Zaścianocze, Pantalicha i Wybranówka. Ta ostatnia osada leżała najdalej od Janowa, ale bliska jest memu sercu, ponieważ Ojciec miał tam pole i planował budowę domu. Byłam z Ojcem w Wybranówce, pokazywał mi to miejsce. Jadąc z Trembowli przez Podhajczyki na koniec wsi, w prawo skręca się na Wybranówkę. Obecnie postawiono tam znak drogowy, że nie ma wjazdu. Droga wyboista, osobowym samochodem ze względu na brak czasu nie dotarłam na miejsce. Wiadomo

<sup>1</sup> Obecna nazwa Dolina. (Przyp. Red.).

<sup>2</sup> "Powiat Trembowelski. Szkic geograficzno-historyczny i etnograficzny – zebrał nauczyciel ludowy Jan Aleksander Bayger", Lwów. 1899.

mi z opowiadań, że w czasie wojny znajdowało się tam lotnisko i pozostał tylko jeden dom. Mam głęboką nadzieję, że kiedyś tam dotrę.

Skręcając z Podhajczyk na Wybranówkę, w odległości mniej więcej 300 m, stoi na postumencie figura Matki Bożej, a na nim napis:

*Na chwałę Bogu – postawił ten pomnik*

*Piotr Zarusiński*

*1894 rok. (Odnowiony w 1990 r.).*

**PODHAJCZYKI:** Nowacki, Kędzierzewicz, Dąbrowski, Skalski, Drozdowski, Borys, Kuszła, Mandzij, Ruryk.

**DOŁHE:** Bogusz, Tricka, Szpitula, Niewojda, Tataryn, Kolorus.

**DERENIÓWKA:** (stacja kolejowa).

**MŁYNISKA:** Grocholski, Karpowicz, Peis, Szalabej, Dawiskiba.

**ZNIESIENIE:** wieś, która liczyła 115 rodzin polskich, nie istnieje. Na jej miejscu po 1945 r. powstał ośrodek wypoczynkowy, po 1991 r. zdewastowany. Kąpielisko zamienione zostało w staw i łowi się tam dziś ryby. Trzech budynków pilnuje stróż. Wiadomości na temat tej przepięknie położonej wsi i jej mieszkańców znajdują Czytelnicy w książce autorstwa p. Wojciecha Pleszczaka z Poznania pt. "Ludzie jednej polskiej wsi Podola – Zniesienie". (Adresu wydawcy nie podano).

## II. Rozwój miasta

Malownicza, lesista okolica Janowa należy do najpiękniejszych w powiecie trembowelskim. Oblana dokoła Seretem i młynówką, położeniem swoim przypomina Kamieniec Podolski, a otaczająca Janów stroma, lesista ściana, zwana "Bardą", zmienia miasteczko w urocze, jakby górskie zacisze. Jedyne podejście do miasta jest tylko od strony północnej.

Najdawniejszą wzmiankę o Janowie spotykamy w dziele Ksawerego Liskiego "Cudzoziemcy w Polsce". Autor podaje, że 16 lipca 1497 r. nadszły od strony Mikuliniec wojska Krzyżackie pod wodzą Wielkiego Mistrza Jana Tiefena, który jako lennik króla Olbrachta brał udział w pamiętnej wyprawie wołoskiej. Krzyżacy minawszy Trembowłę, podążyli przez Janów do Jabłonowa.

Jak podaje Słownik Geograficzny, król Zygmunt III mając zdaną sobie sprawę, że Jan Golski (wojski trembowelski) wystawił na dziedzicznych gruntach swoich należących do miasteczka Janowa – mosty na Serecie i Gnieźnie, pozwala mu w roku 1604 pobierać myto po szelągu za konia i wołu. Tylko szlachta i duchowni byli wolni od składania tej opłaty.

Miasto założone zostało prawdopodobnie w XVI w. przez rodzinę Golskich. Dzielono ono później los zamku wzmocnionego basztami, założonego w początkach XVII w. przez wojewodę Jana Golskiego. Jedna baszta okrągła, druga czworoboczna, obie z kamienia łamanego, zachowały się najlepiej.

Miasto i zamek uległy zniszczeniu wojennemu w okresie walk z Tatarami, Turkami i Kozakami.

W 1675 r. został zamek wraz z miasteczkiem spalony i zrabowany przez Turków, zaś w 1685 r. nową klęskę zadali mu Tatarzy i Kozacy, którymi dowodził Sulimeńko. W dalszych dziejach należy wspomnieć pożar, który w

nocy z 5 na 6 czerwca 1790 r. zniszczył nie tylko całe miasteczko wraz z ratuszem, lecz także cerkwie, kościół i jego archiwum.

W 1611 r. Jan Golski, wraz ze swą żoną Zofią z Zamiechowa, ufundował i wyposażył kościół w obrębie murów zamkowych. Niejednokrotnie biwakowały tam wojska polskie w oszańcowanym obozie.

W miejscowym urzędzie gminnym przechowała się jedyna pamiątka dawniejszych czasów, stara pieczęć miasta. Środek tej pieczęci zajmuje drzewo o półokrągłej koronie, którą otacza półkolem napis łaciński: SIGILLUM COMMUNITATIS, pod drzewkiem zaś dalszy ciąg napisu w dwu wierszach: MIASTA JANÓW. (Nie wiadomo jaki, był późniejszy jej los.).

W mieście znajdują się ruiny zamku, obok zamku kościół, który pierwotnie był kaplicą zamkową, później rozszerzoną. W rynku wyróżnia się ratusz – prostokątny budynek z pięcioma kolumnami i okapem podcieniowym. Obok liczne dworki z XVIII w. z charakterystycznymi podcieniami kolumnowymi. W rynku murowana cerkiew z początku XVIII w. z oryginalnym sufitem pułapowym. Była też bożnica, częścią murowana i drewniana, pochodząca prawdopodobnie z XVIII w. z późniejszymi dobudówkami.

Janów podzielony był na dzielnice, które miały swoje nazwy: Łapajówka, Seretówka, Oblonie, Kąt, Zawoda. Pierwsze cztery opasane były Seretem natomiast od strony południowej, za żelaznym mostem, rozciągała się Zawoda.

Dzięki p. Franciszkowi Łackiewiczowi z Żar, mogę podać właścicieli różnych zakładów w Janowie z lat 1926/1927, zamieszczonych w : Księdze Adresowej Polski". Np.:

Lekarze: Józef Byliński, Rob. Landes.

Właściciele ziemscy: Piotr hr. Dunin-Borkowski .

Apteki: E. Heschels , Z. Klein.

Bławaty: S. Ehnernkranz, D. Kornstein, B. Lusthaus, B. Radman, Rathaus.

Materiały budowlane: E. Kornblau.

Cegielnie: T. Skotopad i Ska.

Cieśle: F. Amorgowicz, F. Kotliński, J. Olejnik.

Fryzjerzy: M. Reich.

Kołodzieje: L. Czarniecki, I. Stelmaszczuk, P. Tatarczuk.

Kowale: J. Bartmanowicz, F. Kotliński, A. Nockowski, M. Tomalak, Zatwarnicki.

Krawcy: H. Grünberg, E. Werentiner.

Młyny: F. West i Ska.

Murarze: J. Bartnicki, J. Czekański, L. Tatarnik.

Piekarze: B. Freiberg.

Różne towary: S. Duplak, Ch. Gross, H. Huger, K. Schwargel, B. Wienstein.

Rzeźnicy: I. Fleischhaber, M. Perlmutter, J. Woroniak.

Skóry: G. Bienstock.

Stolarze: M. Dzikowski, M. Włosek.

Szewcy: J. Dżus, A. Pawłowicz, S. Sobkowicz.

Tytoniowe wyroby: B. Freiberg, L. Manheim, M. Tomalak.

Wapno: J. Merkur.

Wyszynk trunków: M. Henryluk, S. Lusthaus.

Zajazdy: L. Lazarus, M. Sigall.

Zboże: S. Kornblau, H. Osch, J. Samerstein.

Ziemiopłody: D. Hersch.

cdn.

*Stanisław M. Jankowski*

*Kraków*

## **Kiedy wystawa o Powstaniu w Czortkowie?**

Śladami czortkowskiego powstania idę od lat. Po raz pierwszy trafiłem na informację o tym co wydarzyło się w mieście nad Seretem w styczniu 1940 r., podczas pobytu w 1987 r. w Nowym Jorku. Pamiętam zawstydzenie się moją niewiedzą, które szybko jednak ustąpiło gdy okazało się, że żaden z historyków obecnych wówczas w Instytucie Piłsudskiego, nie potrafił słowa o powstaniu powiedzieć. Niektórzy szukali tego faktu w XVIII wieku.

Raportu o powstaniu, od lat obecnego w archiwum Instytutu, dokładniej kolekcji gen. Kazimierza Sosnkowskiego nikt nie oglądał, a jeśli nawet przeczytał, to bez większego zainteresowania. Pewnie i ja nie natrafiłbym na ten unikatowej wartości oryginalny dokument, gdyby nie konieczność szukania wszystkiego, co wiązało się z emisariuszami, kurierami i w ogóle z łącznością pomiędzy okupowaną Polską i naszym rządem na emigracji w latach II wojny światowej. Zbierałem wówczas materiały do książki o Janie Karskim, więc każdy raport z czasów "emisariuszowania" "Witolda" był na wagę złota.

Mając w ręku raport z informacjami o Powstaniu byłem przekonany, że to Jan Karski ukrywał się pod pseudonimem "działacza wiejskiego ZWZ", i on dostarczył pierwsze wieści o Powstaniu ministrowi Kotowi, który o fakcie napisał dalej, do gen Sosnkowskiego.

Tak być mogło, ale nie było. Rozmowa telefoniczna wyjaśniła sprawę. Prof. Karski wyznał mi, że o powstaniu czortkowskim nigdy nie słyszał.

Opuszczając Archiwum Instytutu Piłsudskiego wiozłem do kraju, obok wielkiej ilości różnych odbitek kserograficznych, także tę z raportem o Powstaniu, napisanym w roku 1940 przez "działacza wiejskiego ZWZ", którego nazwiska mimo poszukiwań – nie udało się rozszyfrować. Peerełowska cenzura przed rokiem 1989 nie pozwoliła na wydrukowanie najmniejszej nawet wzmianki o antysowieckim powstaniu.

## **“Niebywała śmiałość tamtejszej młodzieży”**

*21.1.1940 r. mieszkańcy miasta Czortkowa byli świadkami niebywałej śmiałości tamtejszej młodzieży, która targnęła się zbrojnie na garnizon wojska bolszewickiego w zamiarze zajęcia całego miasta. Czyn, jakkolwiek śmiały i zdecydowany, spotkał się z oporem bolszewików, którzy po krótkiej walce z powstańcami zlikwidowali go i w następstwie rozpoczęły się masowe aresztowania – tak zaczyna się kolejny dokument, którego kopię mam w swoim archiwum.*

Ta wielkiej wartości relacja jednego z uczestników powstania – Tadeusza HERMANA, także znajduje się w Ameryce, dokładniej – w zbiorach archiwalnych Instytutu Hoovera kalifornijskiego uniwersytetu w Stanford, wśród 10 tysięcy relacji złożonych już w roku 1942 i 1943 przez żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie i ich rodziny. Unikatowej wartości zbiór jest nadal mało znany polskim historykom z powodu swej obojętności i odległości archiwum od kraju. A dlaczego ważny? Ponieważ relacje składano za tzw. świeżej pamięci – dwa, trzy lata po wydarzeniach.

Dla osób zainteresowanych powstaniem relacja Hermana jest istotna m. in. dlatego, że jej autor wyjaśnia jak wyglądało śledztwo, jak bestialskich metod używano aby wydobyć od przesłuchiwanym informacje o przygotowaniach do walki, o jej uczestnikach, ich uzbrojeniu oraz o przebiegu samej walki. Po przeczytaniu tej relacji trudno dziwić się, że funkcjonariusze NKWD zgromadzili dla sądów w Tarnopolu i Odessie tak wiele informacji; oni po prostu “wymęczyli” je od przesłuchiwanym.

*Przed północą przyjechało auto z 6 żołnierzami, kazali mi położyć się twarzą do ziemi, żeby nie był widoczny na zewnątrz – wspomina Tadeusz Herman, którego zawieziono wtedy na cmentarz. – Kazali mi stać przed grobem, a żołnierze ustawili się 10 m przede mną z bronią gotową do strzału. Wtedy śledczy postawił mi jeden warunek, że jak podpiszę zeznanie to mi daruje życie. Żołnierze odbezpieczyli karabiny, robiąc kilkakrotny ruch zamkiem do przodu i do tyłu, by tym zrobić jeszcze silniejsze na mnie wrażenie, a śledczy podniósł w górę rewolwer mówiąc, że jak strzeli to żołnierze mają natychmiast oddać salwę i położyć mnie trupem. Na moją odpowiedź, że wolę śmierć niż podpisanie fałszywego zeznania, które obciążało około 20 moich kolegów, (śledczy) dał rozkaz powrotu do więzienia, a rano wywieźli mnie do Tarnopola. Tam śledztwo nie miało już tak ostrego przebiegu, jeżeli chodzi o mnie, bo bicia w twarz ręką nawet nie liczyłem...*

Fragment relacji Tadeusza Hermana ujawniam obecnie po raz pierwszy, ale może przy okazji planowanej wystawy o czortkowskim powstaniu przyjdzie czas, aby całość ogłosić drukiem?

### **Śledztwem interesował się sam Stalin**

Gdyby doszło do opublikowania dokumentów opowiadających o wydarzeniach w Czortkowie, warto też pomyśleć o ujawnieniu zeznań z roku 1990, składanych przed prokuratorami kilku Okręgowych Komisji Badania

Zbrodni Hitlerowskich i Stalinowskich – Instytutu Pamięci Narodowej. Mnóstwo tam informacji o mieście nad Sere-tem w okresie poprzedzającym powstanie, o sowieckim terrorze i próbach konspirowania przez młodych najczę-ściej mieszkańców Czortkowa. I oczywiście o podjęciu walki w styczniu 1940 r.

*W dniu 17 stycznia 1940 roku w Czortkowie wybuchło powstanie – czytam w zeznaniach Władysława JURKOWA. W powstaniu tym między innymi ja brałem czynny udział oraz niektórzy członkowie “Strzelca”, ponad-to do powstania przyłączyła się młodzież Czortkowa. Powstańcy posiadali broń. Zaatakowane zostało więzienie, koszary wojskowe oraz miejscowa poczta. Powstanie jednak upadło, ponieważ nie były równomierne siły. Kiedy atakowano dolne koszary, wówczas na pomoc przyszło wojsko radzieckie z górnych koszar. Powstanie było nie-przygotowane i trwało około pół godziny. Miało ono być nie podejmowane, ale rozkaz nie podejmowania akcji zbrojnej nie przyszedł na czas. Po obu stronach byli ranni i zabici. Wraz ze mną udział w powstaniu brali Bolesław Witkowski i Prażanowski, imienia jego nie pamiętam<sup>3</sup>. Po upadku powstania zaczęły się represje. Ja zostałem aresztowany 6 lutego 1940 r. w Czortkowie. Zostałem zadencujowany przez...*

W tym miejscu urywam tekst świadomie, chociaż niejednego z Czytelników może zainteresować, kto – zda-niem świadka Władysława Jurkowa, zeznającego we Wrocławiu 8 października 1990 roku – wskazał go funkcyjna-riuszom NKWD. Ujawnienie nazwiska donosiela to wielkie ryzyko. Zawsze trzeba założyć, że świadek pomylił się po tylu latach i wymieni osobę absolutnie niewinną. Nie trzeba chyba wyjaśniać, jak wielką krzywdę mógłbym zro-bić zarówno osobie uznanej za delatora a niewinnej, jak też jej najbliższym. Warto wspomnieć też o konsekwen-cjach prawnych. Nazwisko wymienionego przez świadka donosiela mógłbym podać jedynie wówczas, gdyby został on skazany za ten czyn prawomocnym wyrokiem sądowym, a kara nie uległaby zatarciu. Więc chociaż na-zwisko denuncjatora powtarza się w kilku innych zeznaniach, mogę jedynie napisać, że – zdaniem świadków – był to A. B. mieszkający wówczas w Czortkowie przy ul. Nadrzecznej.

Podobnie nie zamierzam ujawniać nazwisk innych osób wspominanych w różnych relacjach, protokołach, ze-znaniach, rozmowach lub korespondencji jako donosieli. Ani też – chociaż mnie w tej sprawie “naciskano” wielo-krotnie, nazwisk aresztowanych chłopców, którzy załamali się w czasie śledztwa i gdy ich bito lub męczono – gadali to, czego mówić nie należało. Dodajmy śledztwa, którego przebiegiem i rezultatami w roku 1940 intereso-wał się sam Stalin.

### **Na Moskale tylko z szablą?**

Cytowany przeze mnie fragment zeznań rodzi także wiele innych pytań. Nie ma w zeznaniach słowa o ilości posiadanej przez powstańców broni, a na ten temat znam – jak dotąd – wiele sprzecznych ze sobą relacji oraz dokumentów. Jedne mówią o uzbrojeniu składającym się z czterech pistoletów, bagnetu i szabli, inne o wyposa-żeniu atakujących w kilkadziesiąt pistoletów, granaty, a nawet kilka karabinów. Co uda się jeszcze wyjaśnić? A może prawda wyglądała zupełnie inaczej?

W różnych relacjach i dokumentach pojawia się bardzo często informacja o różnych obiektach planowanego ataku. Znowu obok szpitala i koszar, które z całą pewnością miały być i zostały zaatakowane, czytam lub słucham o szturmie na więzienie, pocztę, sąd. O zdobyciu lub nieudanym ataku na pomieszczenia dworcowe. O zajęciu pociągu, którym zamierzano wyruszyć do Zaleszczyk lub ukrytych w pociągu żołnierzach sowieckich, którzy wiedząc (?) o planach powstańców, tylko czekali aż pojawią się oni na stacji. Znam relacje sugerujące walkę trwającą tylko pół godziny, inne mówią o strzelaninie przez całą noc. Killkudziesięciu zabitych i rannych Rosjan to – jeśli wierzyć niektórym relantom – efekt nocnych walk, ale w dokumentacji sowieckiej z roku 1940 i 1941 wspomina się jedynie o 3 zabitych i 3 rannych żołnierzach. Kto więc mija się z prawdą? Sowiecki komisarz Iwan Sierow, starający się ukryć prawdziwe straty ze strachu (?) przed Stalinem, czy uczestnicy walk lub ich znajomi, zdecydowani podwyższyć straty Rosjan, aby w ten sposób dodać powstaniu większego znaczenia?

Historyk nie może zastosować sugestii, że “prawda leży gdzieś po środku”. Musi pamiętać, że przy podawaniu “strat własnych” wiele wojskowych dokumentów (ale nie wszystkie) nie jest rzetelnych. Nie można jednak uwierzyć w wieloosobowe straty sowieckie, skoro większość relantów potwierdza słabe uzbrojenie polskich zespołów uderzeniowych.

Wiele trudności przynoszą też próby ustalenia nazwisk wszystkich powstańców. Częściowo wierzyć można dokumentacji śledczej i procesowej dostarczonej – nie w całości niestety – z archiwów Służby Bezpieczeństwa Ukrainy i wstępnie opracowanej przez najlepiej w Polsce znającego kulisy powstania Jędrzeja Tucholskiego.

Udostępniona Polsce, przechowywana aktualnie w archiwum IPN dokumentacja, liczy ponad 3 tysiące stron. Zna ją, jak dotąd, dwie może trzy osoby i trzeba wielu tygodni oraz biegłej znajomości języka rosyjskiego, aby poznać to, co można przeczytać.

Świadomie nie piszę słowa “prawda” ani “fakty”, a tylko “to co można przeczytać”. Za dużo widziałem w życiu zawodowym oficjalnych sowieckich protokołów przesłuchań czy akt sądowych, w których błąd siedział na będzie, ale roilo się także od kłamstw podawanych jako wiarygodne informacje. Słusznie więc pisząc o wspomnianej dokumentacji Jędrzej Tucholski podkreśla, że omawia i cytuje **“wersję NKWD”**.

### **Historyk musi być bardzo ostrożny**

Czytając fragment zeznań W. Jurkowa wiele osób zapewne zwróciło uwagę na błędnie podaną datę wybuchu walk. Oczywiście wiem, że powstańcy uderzyli na Rosjan w nocy z 21 na 22 stycznia. Zacytowałem pierwsze zdanie dosłownie aby pokazać, jak istotne pomyłki mogą się pojawić kiedy przesłuchujący świadka prokurator nie zna faktów i pisze to, co słyszy. Ale skąd miałby znać prawdziwą datę, skoro nigdzie nie mógł o powstaniu przeczytać?

I ja dałem się początkowo nabrać na “lewą” datę wybuchu powstania w Czortkowie. We wspomnianym na wstępie raporcie “działacza wiejskiego ZWZ” można przeczytać, że powstanie wybuchło w nocy z 27 na 28 stycznia 1940 r. Tak przeczytałem w nowojorskim archiwum, tak opowiadałem, wspominając najcenniejsze materiały,

<sup>3</sup> Edward (Przyp. Red.).

jakie w Stanach udało mi się pozyskać i długo jeszcze sugerowałbym się błędem w raporcie, gdyby nie Piotr Młotecki i jego artykuł dla "Karty" w roku 1991.

Piotr Młotecki i Jędrzej Tucholski najwięcej – jak dotąd wnieśli do badań nad historią czortkowskiego powstania. Zebrali relacje, zdjęcia, dokumenty, ustalili wiele adresów. Piotr Młotecki, od jakiegoś czasu bardo poważnie chory, za pośrednictwem żony i córki przekazał mi w depozyt dużą ilość zdjęć unikatowej wręcz wartości, a Jędrzej Tucholski pomaga od lat, udostępnia materiały, fotografie, wskazując jak działać dalej aby doszła do skutku historyczno-dokumentalna wystawa o Powstaniu. Gdyby nie te osoby – byłoby mi o wiele trudniej i wiedziałbym o wiele mniej niż wiem o wydarzeniach w Czortkowie.

### **Listów i informacji nigdy za dużo**

Ale nie tylko oni, gdyż lista wspierających mnie osób, najczęściej mieszkających kiedyś w Czortkowie i kochających swoje rodzinne miasto "na zawsze", liczy już kilkadziesiąt nazwisk. Z kraju i zagranicy nadchodzą listy z relacjami, odpowiedziami na pytania, fotografiami, dokumentami. Dostaję wskazówki, gdzie szukać informacji, a także adresy wraz z sugestiami, że tam właśnie należy napisać, zapytać o brata – uczestnika Powstania lub o ojca, którego za udział w powstaniu skazano na śmierć. Dostaję listy, które kiedyś krążyły pomiędzy Czortkowanami, a mnie – idącemu śladem wydarzeń sprzed lat – mogą się przydać nawet dzisiaj, ze względu na jakiś drobny szczegół czy nazwisko.

Jak oceniać szansę na zebranie takiego materiału, który za kilka miesięcy można będzie pokazać na wystawie "Powstanie w Czortkowie"? Przecież – powie ktoś – minęło ponad 60 lat... Takie samo pytanie zadawano mi, gdy zbierałem materiał do książek i wystaw o żołnierzach Armii Krajowej, uwalnianych w czasie okupacji więźniów i aresztowanych. Gdy szukałem fotografii do wystaw katyńskich, z którymi pojechałem później do Paryża, Budapesztu i Moskwy. Gdy z archiwów brytyjskich i sowieckich ściągałem dokumenty i zdjęcia na wystawę o gen. Okulickim, prezentowaną dwa lata temu m. in. w Nowym Jorku i Bostonie.

Pesymiści twierdzili, że nic nie zrobię, bo po tylu latach... Optymiści pomagali – i właśnie dzięki nim wystawy doszły do skutku.

Wystawa przypominająca powstanie w Czortkowie dojdzie do skutku, bo mam już kilkaset fotografii poświęconych miastu i jego mieszkańcom. Brakuje jednak nadal zdjęć uczestników powstania. Było ich ponad stu. Nie wierzę, żeby udało się zebrać zdjęcia wszystkich, ale jestem przekonany, że po przeczytaniu tego tekstu znowu na moim biurku pojawią się kolejne listy z fotografiami, wskazówkami, do kogo mam napisać, z nowymi adresami.

Autor – kurator wystawy "Powstanie w Czortkowie" oczekuje na listy kierowane pod adres:

Stanisław M. Jankowski

ul. Szujskiego 11 m 3

31-123 Kraków

tel.: 633-60-81

e-mail: stanislawjankowski@wp.pl

Wanda (Tetiuk) Jarzyna

Wrocław

## Wspomnienia z Romanówki w pow. tarnopolskim

Minęło 58 lat od tragicznej śmierci mojego Ojca Michała Tetiuka, który zginął z rąk banderowców. Jego męczeńską śmierć tak opisuje Jan Raniczkowski w 34 numerze "Głosów Podolan" z 1999 r.

*Drugiego mordu dokonali banderowcy w marcu 1945 r. na kierowniku szkoły w Romanówce - Michale Tetiu-ku. Gdy zabrano mnie do wojska, pan Tetiuk myślał że uciekłem i pytał moją żonę: Powiedz gdzie schowałaś Jan-ka? Nie wiem kiedy poszedł do wojska, ponieważ nie było go ani w mojej grupie, ani w drugiej grupie zmobilizo-wanych.*

*Wiadomo natomiast, że w mundurze (w stopniu oficera) szedł pieszo szosą z Tarnopola. Dogoniła go w Stupkach furmanka, a na niej znajomi chłopci -- ukraińcy. Przysiadł się do nich. W pewnym momencie wyjechał z naprzeciwka duży pojazd mechaniczny (używany przy naprawie dróg), konie sploszyły się i wóz wywrócił się do rowu. A z wozu posypała się ... broń.*

*Opowiadała mi później żona, że widziała nauczyciela w mundurze idącego do Franciszka Sandeckiego w bu-nydnu przy bramie folwarku. A po chwili zobaczyła przez okno, że prowadzi go kilku mężczyzn. Na ramionach miał płaszcz wojskowy. Wybiegła natychmiast z domu z wiadrami na wodę i gdy była na ulicy, banderowcy pozdrowili ją zdrowstwu chazajka<sup>4</sup>. Odpowiedziała zdrowstwu i spiesznie przeszła. A wtedy pan Tetiuk zawołał: Ja jestem w rękach banderowców!*

*Stefania Gołowska i Stanisława Zarzycka - w tamtym czasie małe dziewczuszki - opowiadały już w Wymiarkach, że szły obie do domu Gołowskich i spotkały po drodze pana Tetiuka, prowadzonego przez Ukraińców do domu Łabanowicza w Romanówce, gdzie mieszkał. Dziewczętom wydawało się wówczas, że nauczyciel patrzy na nie wzrokiem błagającym o pomoc. Ale co my smarkule - usprawiedliwiały się - mogłyśmy zrobić? Byłyśmy tak przestraszone, że bałyśmy się parę z ust puścić.*

*Aniela Bogucka opowiadała także w Wymiarkach, że matka jej słyszała szeptaną rozmowę Ukraińek na temat zamordowanego nauczyciela. Zaprowadzono go mianowicie do gospodarza, który nie posiadał nóg, Ukraińca nazwiskiem Kawałek, i zamknięto w dużej piwnicy z kamienia. Tam Polaka torturowali, wyrrywając mu palce u rąk i nóg, a ponieważ przy tym krzyczał, ucięli mu język. Nie wiadomo jak długo pastwili się nad ofiarą i co zrobili z cia-*

<sup>4</sup> Celowo w j. rosyjskim, żeby wprowadzić Polaków w błąd. (Przyp. red.).

łem.

*Żona K....a przyszła w jakiś czas po tym do Romanówki, do gospodarza Kuźmirka i powiedziała: Uciekajcie wujku, bo będzie wam to samo co Tetiukowi. Zięc Kuźmirka rozgłosił po cichu to ostrzeżenie i Polacy szli gromadnie do Borek Wielkich po dokumenty na wyjazd "do Polski".*

W Romanówce mieszkaliśmy od 1930 r.. Wieś należała do gminy i poczty Borki Wielkie, powiatu tarnopolskiego. Posiadała małą, uroczą, stacyjkę kolejową, mały kościółek i cerkiew. Rozciągała się na dwóch wzgórzach przedzielonych rzeczką, nad którą rosły rosochate płaczące wierzyby.

Mieszkaliśmy w szkole, z racji ojcowskiej pracy na stanowisku kierownika szkoły.

W Romanówce było około 45% Polaków, w większości ubogich wieśniaków mówiących w domu po "rusku". Chaty niskie, przeważnie słomą kryte otoczone wiśniowymi sadami. Przed chatami rosły strzeliste malwy, kosańce i peonie. Przed niedzielą podwórka były pięknie zamiecione, a powietrze przesycone zapachem pieczonych chlebów i smacznych drożdżowych bałabuchów, nadziewanych kapustą, kaszą gryczaną lub ziemniakami. Przed wieczorem słychać było brzęczenie pszczoł powracających z hreczanych pól do czekających w sadach uli i porykiwanie krów pędzonych do wodopoju. W oknach szkoły długo świeciła się naftowa lampa, a przy niej do późnej nocy pracował nasz tata. Na stole leżały dzienniki szkolne, zeszyty i stos spraw związanych z budową domu ludowego, organizacją strzelecką i in. Niewiele czasu pozostawało mu na odpoczynek. W dzień czekały poza lekcjami pszczoły i drobne prace gos-podarcze, gdyż utrzymanie domu, rodziny i dwóch córek w bursie nauczycielskiej w Tarnopolu oraz chesne starszej córki w IV Państwowym Liceum i Gimnazjum Żeńskim im. Marszałka J. Piłsudskiego (nr na tarczy 611) wymagało szczególnej kalkulacji.

Pamiętam, byłam jeszcze małym dzieckiem i nie wiem nawet kiedy za sprawą mego Ojca urósł na środku wsi piękny budynek domu ludowego im. Adama Asnyka, ogrodzony żywopłotem. Pamiętam też wielkie święto – poświęcenie "DOMU LUDOWEGO". Sala udekorowana była zwisającymi "pająkami" ze słomki i bibulek – dzieło miejscowych kobiet i dziewcząt. Pod ścianami stały ławy, przy stołach zastawionych jadłem. Było mnóstwo gości. Przybył starosta MALICKI, major SEMERGA, ksiądz Jan MOTYKA, dawny legionowy kapelan marszałka Piłsudskiego oraz inne władze z powiatu i gminy.

Mama i tata pełnili rolę gospodarzy, a ja opuszczona przez nich beczałam pocieszana przez opiekuńcze gosposie.

Dom ludowy tętnił w niedziele życiem. Przychodzili wiejscy muzykanci, a młodzież tańczyła poleczki, walczyki i ulubionego kozaka.

Zaczęła się żmudna orka na ugorze. Tata przywoził z Tarnopola scenariusze, przeprowadzał próby, urządził przedstawienia i akademie okolicznościowe, organizował święcone i oplatki. W małej salce za sceną znajdowała się także biblioteka.

Pamiętam nocne powroty do domu po takich imprezach, kiedy przebudzona marudziłam w ramionach niosącego mnie taty; w drugiej ręce niósł naftową latarnię, bo nogi grzęzły w błocie gliniastym, czarnoziemnym, bezliśnie klejącym się do butów.

Tak w ciężkim trudzie, krok po kroku, zaczęła polska młodzież wiejska posługiwać się językiem ojczystym. Tata uczył ich polskich pieśni, zorganizował drużynę strzelecką, którą odwiedzał legionista major SEMERGA, a mama czuwała nad Kołem Gospodyń Wiejskich. Przychodziły do domu ludowego w okresie zimowym, tu m. in. uczyły się szydełkować pod kierownictwem instruktorki, p. Ziuty Barskiej, absolwentki Snopkowa. Księdza Motykę, majora Semergę, p. Ziutę i wszystkich innych gości każdorazowo moi rodzice gościli domowym obiadem i winem na miodzie.

Przyszła wojna, i demony rozpętały swoje rządy wstępując w ludzi, i swoich, i obcych.

Po 17 września zaczęły się systematyczne przesłuchiwania taty przez NKWD, wywożenie ludzi w głąb ZSRR, nieprzespane noce, czuwanie, czy nie słychać ciężkich kroków i głosów wołających pod drzwiami: *Otkroj!* A potem: *Skorej! Skorej!* Już sporządzono listę do wywozu nauczycieli.

W tym czasie także inne demony rozhułały się, mącąc w głowach cichych i spokojnych dotąd chłopów, przeobrażając ich w okrutnych, sadystycznych i bezlitosnych morderców.

Tata powołany został do wojska i skierowany do nauczania języka polskiego rosyjskich oficerów. Gdy rozchorował się na nerki otrzymał urlop zdrowotny, udał się do Romanówki do naszej mamy, mieszkającej teraz w wiejskiej chałupie. Po pewnym czasie u ojca nastąpiła poprawa zdrowia. Tata, ufając mieszkańcom wsi i ich życzliwości, nie kwapił się do ewakuacji o co nalegała mama. I stało się! Do domu wtargnęli banderowcy, wyprowadzili tatę i zamęczyli go w torturach.

Tak zginął cichy bohater – bez wyroku, bez sądu, bez winy.

Siał w pocie czoła polskość na twardym ugorze kresowej wsi i nawet nie doczekał się pogrzebu, ani drewnianego krzyża na grobie.

Takich siłaczy było więcej, cichych, pracowitych i ofiarnych wiejskich nauczycieli. Cześć ich pamięci!

## A P E L

### **do dawnych mieszkańców Strusowa w pow. trembowelskim**

22 kwietnia 1919 roku zginął śmiercią męczeńską w Skalacie wikariusz tamtejszej parafii ks. Walerian Raba, urodzony 9 lutego 1892 r. w Strusowie, syn Michała i Franciszki z d. Butna.

Wyświęcony w 1917 r., skierowany został na swoją pierwszą placówkę duszpasterską do Skalatu.

Tutaj, wiosną 1919 roku, kiedy zaczęto kłaść podwaliny pod gmach II Rzeczypospolitej, w czasie wielkanocnej mszy św. wygłosił kazanie i w patriotycznym uniesieniu wyraził nadzieję i pewność, że tak jak Chrystus zmartwychwstał – tak i Polska zmartwychwstanie.

Zapłacił za to życiem, zamordowany przez ukraińskich nacjonalistów.

Ludność Skalatu zachowała w pamięci odważnego księdza i przy wjeździe do miasta usypała pamiątkowy kopiec, stawiając na nim żelazny krzyż.

Kopiec ten przetrwał lata wojny i dopiero niedawno został zrównany z ziemią.

Postacią tego kapłana zainteresował się ks. Marian Skowyrza, który opracowuje życiorys męczennika i zbiera wszystkie o nim informacje.

Za pośrednictwem naszego Biuletynu ks. Skowyrza zwraca się do dawnych mieszkańców Strusowa, gdziekolwiek po wysiedleniu zamieszkali, a zwłaszcza do potomków małżeństwa Michała i Franciszki Rabów, krewnych, powinowatych i znajomych z prośbą o wszelkie informacje o ks. Walerianie Rabie, dokumenty, fotografie, rzeczy osobiste, pamiątki itp.

Materiały te, które będą nieocenioną pomocą w opracowaniu biogramu księdza męczennika i patrioty, prosimy przesyłać na adres:

Ks. Marian Skowyrza  
ul. Mickiewicza 85  
37-600 Lubaczów

## A P E L

Nazywam się Agnieszka Grędzik. Jestem asystentem naukowo-dydaktycznym we Wszechnicy Świętokrzyskiej w Kielcach i równocześnie doktorantką w Instytucie Socjologii Wydziału Nauk Społecznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, uczennicą księdza prof. dr hab. Romana Dzwonkowskiego SAC.

Zwracam się z uprzejmą prośbą o wydrukowanie na łamach "Głosów Podolan" mojego apelu. Proszę o kontakt z osobami, bądź rodzinami osób, które w latach 1941-1944 uczęszczały na tajne komplety prowadzone podczas okupacji niemieckiej na ziemiach południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej (województwa: lwowskie, stanisławowskie, **tarnopolskie** i wołyńskie) oraz północno-wschodnich II Rzeczypospolitej (województwa: wileńskie, nowogródzkie, poleskie i częściowo białostockie powiaty: Grodno i Wołkowysk). Wdzięczna będę za poinformowanie innych osób o tej prośbie lub wskazanie ich adresów. Uzyskane dzięki Państwa uprzejmości informacje zostaną wykorzystane w pracy naukowej. Powyższa problematyka stanowi bowiem do dziś "białą plamę" w historii polskiego szkolnictwa lat wojny i okupacji.

---

**Kwestionariusz badawczy**  
**dotyczący tajnego nauczania polskiego w czasie okupacji niemieckiej**  
**w latach 1941 - 1944 na ziemiach południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej**  
**( województwa: lwowskie, stanisławowskie, tarnopolskie i wołyńskie)**

1. Proszę podać miejscowość, powiat i województwo, gdzie istniało tajne nauczanie polskie.
2. Proszę o podanie imion i nazwisk nauczycieli, którzy prowadzili tajne nauczanie polskie. Jakie były ich dalsze losy (jeśli są znane)?
3. Z jakich podręczników i pomocy korzystano?
4. Jakie przedmioty były wykładane i na jakim poziomie (szkoła powszechna, gimnazjum, szkoła wyższa)?
5. Ilu uczniów uczęszczało na tajne komplety (proszę o podanie przybliżonej liczby)?
6. Czy były wydawane zaświadczenia, świadectwa?
7. Czy nauka była odpłatna?

Będę wdzięczna za udostępnienie świadectw, fotografii i innych dokumentów ze wspomnianego okresu.

Poszukuję również informacji **o deportowanych i zamordowanych nauczycielach polskich z ziem południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej** w czasie II wojny światowej.

Oto mój adres:

Agnieszka Grędzik  
ul. Bohaterów War. 3/33  
25-394 Kielce

## “Obyś cudze dzieci uczył”

### Wspomnienie o Janie Grendziszu

Odchodzimy zwartym szeregiem. Po nas przychodzą nasze dzieci i wnuki. One także odejdą, bo taka jest kolej życia.

Odchodzą z nami wszelkie instytucjonalne formy organizowane dla wspólnego bytowania i upamiętnienia naszej przeszłości. Przemijający Kresowy świat to wielka strata dla kultury i obyczajowości naszego narodu, dla jego tożsamości historycznej.

Pragnę zatrzymać się nad człowiekiem, który jak sam powiedział “dwójom się nie kłaniał”. 3 czerwca 2001 r. zasnął w Panu Jan GRENZISZ, syn Ziemi Podolskiej.

Pochodzi z Czabarówki w pow. Kopyczyńce, woj. tarnopolskie. Wychowywał Go ojciec Mikołaj i on nauczył syna jak kochać drugiego człowieka i Ojczyznę oraz przekazał głęboką wiarę w Boga. Te zasady Janek w pełni wykorzystał w swym dorosłym życiu i w pracy zawodowej.

Do szkoły podstawowej uczęszczał w czasie II wojny światowej w Czabarówce, potem naukę kontynuował w Husiatynie. Po wysiedleniu na Śląsk Opolski, zamieszkał z rodziną we wsi Jabłonka w pow. Głubczyce. Zaraz też podjął naukę w Państw. Gimnazjum i Liceum w pobliskim Kietrze. Dał się tam poznać jako wzorowy uczeń, współorganizator drużyny harcerskiej i aktywny jej drużynowy. Prawo harcerskie i hasło: Ojczyzna – Nauka – Cnota były drogowskazami Jego życia.

W 1949 r. zdał maturę i podjął studia we wrocławskiej Akademii Medycznej. Doszedł jednak do wniosku, że prawdziwym Jego powołaniem jest stan nauczycielski. Przerwał studia medyczne i podjął pracę w Szkole Podstawowej im. M. Konopnickiej w Długoszynie, pow. Sulęcín na Ziemi Gorzowskiej.

Długoszyń – to mała wioska, a jej mieszkańcy zatrudnieni byli przeważnie w Państwowym Gospodarstwie Rolnym. W krótkim czasie Jan mianowany został dyrektorem szkoły. W różnych latach była to szkoła I, II..VIII-klasowa. Liczyła przeciętnie 60-ciu uczniów. Mgr inż. Jan Grendzisz przepracował w niej ponad 40 lat i był z nią związany do ostatnich dni jej istnienia.

W ciągu lat pracy potrafił zintegrować szkołę z miejscowym środowiskiem. Była to prawdziwa współpraca i prawdziwa szkoła środowiskowa. Zapracował sobie na szacunek miejscowej ludności i nauczycieli w całym powiecie. Był znaną postacią, posiadał autorytet. Pod kierownictwem Janka ta placówka stała się wiodącą pod względem programowania pracy, organizacji lekcji, administracji, estetyki i czystości.

Pod nadzorem Jana Grendziszta stworzono system wychowawczy przygotowujący uczniów do pełnienia przyszłych ról: obywatela, uczestnika życia politycznego, członka rodziny i współtwórcy kultury. Szkoła przekazywała wychowankom tradycje patriotyczne i nawiązywała do ideałów Patronki. Opracowano hymn szkoły, a jedna ze zwrotek mówiła:

*Naszej Patronce – Marii Konopnickiej  
dzisiaj przyrzekamy tymi słowy:  
będziemy bronić naszej ziemi  
i strzec będziemy polskiej mowy.*

We wspomnieniach nauczycieli i uczniów tej szkoły przewija się wiele pięknych i chlubnych opinii o Dyrektorce. Podkreśla się duże osiągnięcia uczniów w różnych dziedzinach oraz nietypowy model pracy pedagogicznej.

Z małej, wiejskiej szkółki stworzył Jan Grendzisz wzorową placówkę pod względem organizacji, obrzędowości i nauczana. Była to placówka otwarta na wszystkie nowości pedagogiczne i nowości te popularyzowała. Idee Patronki krzewione były na co dzień. Uczeń – dziecko było przedmiotem troski i pedagogicznej fascynacji.

Nie kusił Jana żadne propozycje, aby odejść ze wsi. Umiejętności praktyczne, dyscyplina wewnętrzna i cała osobowość Janka wprawiały w podziw i uznanie nie tylko władze oświatowe.

Mała wiejska szkoła miała osiągnięcia na szczeblu wojewódzkim i krajowym. Zdumiewające jest że w tej małej "pegeerowskiej" wiosce można było zrobić tak wiele. Do tego potrzeba sił, powołania i umiłowania pracy pedagogicznej. Powiedzenie "Obyś cudze dzieci uczył" w pojęciu Janka brzmiało dumnie.

Jan Grendzisz – to człowiek o dużej wiedzy, wielkim sercu, pomocny w różnych okolicznościach. Miał zawsze czas dla każdego. Za swoje zawodowe osiągnięcia otrzymał wiele wyróżnień, nagród i dyplomów. Wielką nagrodą był dla Niego szacunek i wdzięczność jaką zaskarbił sobie wśród współpracowników, dzieci i miejscowej ludności. Podkreślał często: *Nieważne są nagrody, ważne nagród powody.*

Pozostał w pamięci środowiska, w którym żył, jako wzór człowieka dobrego, życzliwego i szlachetnego. Dewizą Jego postępowania było: Dbaj o ciało, bo Bóg zafundował ci nieśmiertelną duszę. Żyj w zgodzie z naturą i ludźmi tak, aby wszystkim było z tobą dobrze, a na horyzoncie nagroda czeka. Głosił, że sędzią Jego jest Bóg.

Posiadał bogatą kolekcję pieśni, w tym wiele religijnych, gromadził zwłaszcza pieśni o Matce Bożej Rokitańskiej. Na półkach pozostawił kasety z nagraniami, a w kalendarzu pełno spraw do załatwienia.

Spoczął wśród swoich na wiejskim cmentarzu w Długoszynie. Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie.

Józefa Okrzesa

ze Związku Ekspatriowanych z Czabarówki

Niemodlin, w marcu 2003 r.

## Ż ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Piotr **KURASIEWICZ**, syn Jana i Marii  
urodzony w 1920 roku w Skorodyńcach, pow. Czortków.

Zmarł 20 marca 2003 r. w Studniskach Górnych, pow. Sulików, gdzie osiedlił się po wojnie i przez pewien czas pełnił funkcję sołtysa.

Kombatant – artylerzysta, prawy Polak, wierny Syn Ziemi Podolskiej, którą kochał, ale nigdy nie odwiedził rodzinnych Skorodynec. Nie był w stanie zapomnieć doznanej tam krzywdy ze strony miejscowych nacjonalistów ukraińskich. Zwłok Ojca, zamordowanego w okrutny sposób w lipcu 1941 roku, nie pozwolili synowi zabrać i po-  
grzebać.

Śp. Piotr pochowany został na miejscowym cmentarzu 24 marca br.

Pani Stefanii Kurasiewicz, Córce Helenie i Synowi Janowi wyrazy głębokiego współczucia składają

Irena Kotowicz i Antoni Suchorolski  
z Warszawy oraz Tadeusz Wałek  
z Wrocławia

O tragedii Polaków w Skorodyńcach pisaliśmy w numerach 40, 41, 42 i 43/2000 r. "Głosów Podolan".

**SPIS TREŚCI**

Zofia PEŁKOWA	
Syberyjskie zesłanie. Cz. I.....	1
Maria HUDYMOWA	
Wspomnienia granatowego mundurka. Cz. II.....	5
Katarzyna CILIŃSKA	
Żeby pamiętać skąd się wyszło.....	7
Stanisław M. JANKOWSKI	
Kiedy wystawa o Powstaniu w Czortkowie.....	11
Wanda (Tetiuk) JARZYNA	
Wspomnienia z Romanówki.....	16
APEL do dawnych mieszkańców Strusowa.....	18
APEL A. Grzędzik w sprawie tajnego nauczania.....	20
Wspomnienie o Janie Grendziszu.....	21
Z ŻAŁOBNEJ KARTY.....	23